

PŁOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20

•

TOM II

•

NR. 32

WARSZAWA, 20 KWIETNIA 1936 ROKU



PAN PREZYDENT PODPISUJE KONSTYTUCJĘ

KONSTYTUCJA

Klasa, to taki sobie niewielki świat,
ale świat. Zamknięty, swój, nasz świat.

Wszystko tam jest, i dobre i niedobre serca, i jasne i mniejsze głowy, radości i smutki, porządki i nieporządki, Wszystko swoje. I jak zechcemy i to tak mocno, mocno, na całego, to z nieporządków zrobią się potrzebne porządki, ze smutków radości, a nawet i z niedobrych serc mogą się zrobić dobre. Długich to wysiłków wymaga, czasem nawet boli, z takiego bólu człek krzepnie i lepszy się staje.

Polska to także nasz świat. Tysiąc razy większy, tysiąc razy piękniejszy, ale także nasz, własny. I także tam są dobre i niedobre serca, jasne i mniej jasne głowy, radości i smutki, porządki i nieporządki. I także radzić trzeba nad tem, żeby tych smutków i nieporządków było jaknajmniej, żeby ich nie było wcale.

A każdy porządek, na to żeby był trwały, musi być spisany. I na papierze i w sercach.

Na papierze, żeby ludzie kiedyś nie zapomnieli, jakie porządki uradzili.

W sercach, żeby życzliwie, wiernie i wytrwale te porządki spełniali.

Ma klasa swój porządek spisany na papierze — regulamin samorządu szkolnego.

Ma klasa spisany i w sercu — święte, szlachetne prawa koleżeńskie: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Spisywała Polska kilkakrotnie swój porządek państwowy, czyli konstytucję, bo tak się ta ustawa nazywa. Mówi ona o tem, kto ma rządzić i jak ma rządzić. Spisywała tę ustawę Polaka piórem, zaprzysięgała potem sercem.

Robiła to u schyłku wolnych swoich dni przed niewolą, w dniu 3 maja 1791 r.

Robiła to w początkach swego odrodzonego bytu w r. 1921.

Przerobiła i spisała raz jeszcze w r. 1935.

Zaprzysięgała.

Samiśmy sobie uchwalili to prawo. Szanujmyż je tedy, bo jest nasze własne, jak własną jest nasza klasa, jak własną jest cała nasza Polska.

K. K.



WITAJ MAJOWA JUTRZENKO

Witaj, majowa jutrlenko,
co świeciłaś nam nad krajem
i w zimową noc niewoli
wiosną jaśniałaś i majem.

Tyś nas uczył, Trzeci maju,
cenić pracę na zagonie,
tyś nam mówił, że szanować
trzeba czarne trudem dłonie.

Co dziadowie pominęli,
co się dawniej w cień wsunęło,

trzeba z iskry dziś rozdmuchać,
żeby zorzą zapłonęło.

Świećże, Trzeci maju, zorzą
ponad wszystkie nasze chaty,
niech naoścież się otworzą
dla Ojczyzny, dla oświaty.

Świeć się, świeć się, Trzeci maju,
roznoś hasła pracy, zgody,
wszak nie siłą, ale prawem
żyją i słyną narody.

Wanda Malicka

WIELKI DZIEŃ

OSOBY:

HALSZKA — córka posła na sejm czteroletni.

BOLEK — jej brat.

JANKA
ZOSIA } jej przyjaciółki.

Dziewczynki mają po dwanaście lat. Bolek dziewięć.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w mieszkaniu Halszki, przy ul. Świętojańskiej.

Czas: 3 maja 1793 r.

Scena przedstawia pokój, w głębi okno. Przy oknie siedzi Halszka i szyje. Wchodzi Bolek, spogląda przez okno.

BOLEK: Wypróbowałem już wszystkie okna, twoje okazuje się zawsze najlepsze. Tu — zdaje się — zostanę.

HALSZKA (z lekką przekorą): Nie pytasz nawet, czy pozwalam. To przecie mój pokój. A dziś przyjdzie do mnie trochę koleżanek. Zechcą też oglądać wielką chwilę.

BOLEK: I do mnie może przyjdzie Jasek. Będziemy razem oglądali. A po co mam cię pytać o pozwolenie, kiedy wiem, że mi zawsze pozwalasz.

HALSZKA (jak wyżej): Kiedy wypada zapytać. Nie możesz się u mnie rządzić. A dziś właśnie wyjątkowo nie pozwalam, bo to wyjątkowy dzień. Będę miała odwiedziny, każdy zechce być przy oknie. Więc nie starczy miejsca dla ciebie, ani dla Jasia. Przyjm go u siebie.

BOLEK (zmartwiony): U mnie nic nie widać. Z bawialni mama wypędza, w stołowym, to chyba szyję wykręcę, a u ciebie naprzeciweczko. Tak liczyłem... (bliski płaczu). To już nawet nie wiem, co będzie.

HALSZKA (protekcjonalnie): No, jeśli już nie wiesz, to ci chyba pomogę. U mnie mają być tylko Janka i Zosia. Jakoś się razem pomieścimy.

BOLEK (uradowany): Naprawdę? A takeś mnie zmartwiła! I godzi się kogoś martwić w wielki dzień?

(Słychać dzwonek. Wchodzi Janka.)

JANKA (rozradowanym tonem): Co za nadzwyczajny dzień. Pogoda — jak na zamówienie! Słońce poprostu pali. Na ulicach tłumy.

HALSZKA (odkłada robotę): A prze-dostałaś się?

JANKA: Karetą nie mogła się przeci-snąć. Szczęście, że blisko. Mama chciała, abym z nią poszła do sali sejmowej. Ledwom ubłagała, aby mi pozwoliła pójść do ciebie.

HALSZKA: Z mamą jesteś?

JANKA: Nie, z madame. Madame od-prowadziła mnie i zeszła na ulicę. Przyjdzie po mnie. Wolą się przejsć. Mówi, że na ulicy będzie wiedziała, co o tej chwili myśli na-ród.

BOLEK: A ja z okna mogę to zoba-czyć.

HALSZKA: Trudno zobaczyć, co kto myśli, ale przypuszczam, że dziś wszystkie polskie serca zabiją jedna-ko i my w sobie poczujemy, co o tej chwili myśli naród.

(Słychać dzwonek. Wchodzi Zosia)

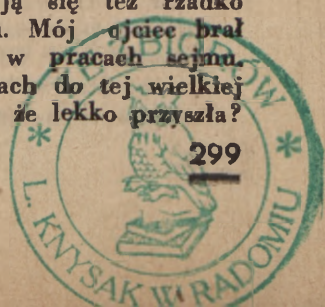
ZOSIA (wita się): No, bałam się, że się chyba do ciebie nie dostaniemy. Konie raz wraz grzęzły w tłumie.

HALSZKA: Dlaczego wybrałaś się tak późno? Umówiłyśmy się, że przy-jdziesz rano.

ZOSIA: To prawda, ale ciągle coś prze-szkadzało. To ojciec nie chciał po-zwolić na wyjście — bał się zamie-szania na ulicy. Wreszcie, kiedy po-zwolił, nie byłam do drogi gotowa. (do Janki) A ty dawno tu jesteś?

JANKA: Nie, przed chwilą przyjecha-łam (Bierze ją za rękę.) Zobacz, jak mi serce bije. Te tłumy na ulicach, na galerji sejmowej, powszechne oczekiwanie, ta cała niezwykłość! Takie dni zdarzają się niezmiernie rzadko w życiu człowieka.

HALSZKA: Zdarzają się też rzadko w życiu narodu. Mój ojciec brał przecie udział w pracach sejmu, w przygotowaniach do tej wielkiej chwili. Myślicie, że lekko przyszła?





TRZECI MAJ (FRAGMENT)

mal. J. Matejko

O, wiem, ile kosztowała wysiłku, pracy, nawet walki.

JANKA: Zazdroszczę ci. Jesteś tak blisko tej konstytucji, jakbyś była z nią spokrewniona. Może nam opowiesz o tych walkach i jak doszło do dnia dzisiejszego, kiedy ma zostać uchwalona.

HALSZKA: Co wam powiem? Czy myślicie, że pamiętam, że znam wszystkie szczegóły? Widziałam tylko zmęczenie ojca, widziałam, jak wracał każdego dnia, pełen nadziei, albo

pełen zaciętości, czy zniechęcenia — po tem poznawałam, jak postępuje praca. Ale poprosimy ojca — nie dziś, dziś nie będzie czasu ku temu — poprosimy go w jaki dzień, to nam opowie. A dziś... (*wzruszona.*) Dzisiejszy dzień to ostatni dzień walki, to dzień rozstrzygnięcia. Niestety — tylko nadzieja nam mówi, że się skończy zwycięstwem i że konstytucja zostanie uchwalona, pewności nie mamy.

ZOSIA: Dlatego się właśnie ojciec oba-



TRZECI MAJ (FRAGMENT)

mal. J. Matejko

wiał rozruchów. Niewiadomo — mówił, czy — jak to się nazywa... ci, co nie chcą konstytucji?

HALSZKA: Opozycja?

ZOSIA: Niech będzie opozycja. Otóż — mówił, że niewiadomo, czy opozycja dopuści do uchwalenia konstytucji i czy nie dojdzie do jakich starć.

JANKA: Że też wszyscy Polacy nie połączą się w takiej chwili dla dobra kraju. Wróg rządzi się u nas i nie szanuje nas, bo jesteśmy słabi. Mocnych każdy ma w poważaniu. A ta konstytucja to nasza siła. Jakże mogą się znaleźć Polacy, coby jej nie chcieli?

HALSZKA: Tylko zaślepińcy mogą jej nie chcieć. Na szczęście coraz mniej takich. Sejm pracuje prawie trzy lata, a z każdym rokiem rosła konstytucja i urosła liczba tych, co konstytucji pragną.

ZOSIA: Tylko czy będzie ich dość, aby ją dziś uchwalić?

HALSZKA (*wychyla się za okno*): Patrzcie na te tłumy, które na nią czekają. Zdają się jednolite, a przecie wśród nich szlachta i mieszczaństwo. Po raz pierwszy połączona szlachta z mieszczaństwem.

BOLEK: Mieszczaństwo interesują się

- sejmem, bo i o nich obraduje. Prawda? Słyszałem coś o tem.
- HALSZKA: Mieszczanie właściwie brali udział w pracach sejmu przez delegację prezydenta Dekerta. A teraz razem ze szlachtą czekają na wynik. W tym tłumie siła „patriotów”. Czy może sejm pójść inną drogą, niż ta, którą wskazują połączone stany i dobro kraju?
- ZOSIA: Ale ojciec...
- HALSZKA: Twój ojciec do stronnictwa patriotycznego nie należy...
- ZOSIA (*oburzona*): Mój ojciec do stronnictwa nie należy, ale nie jest złym Polakiem. Jest człowiekiem spokojnym i chce mieć spokój.
- JANKA: Nie można pragnąć spokoju dla siebie, kiedy kraj się pali, kiedy zagrożony pokój całego kraju. Jak się nie poratujemy sami, to kto nas poratuje?
- HALSZKA: Jak można myśleć o własnym spokoju i dobrobycie, gdy wróg wnosi wojnę i zatracenie wszystkiego bez wyjątku?
- ZOSIA: Przecie wiecie, co o tem myślę. Dziś przyszedłem, aby czekać razem z wami na znak zwycięstwa. Czemu na mnie patrzycie tak surowo?
- HALSZKA: Wybacz. Jesteś moim gościem i nie powinnam być... Wiem, też, żeś najpocziwsza i że twój ojciec nie jest złym Polakiem, tylko, że...
- ZOSIA: Tylko, że nie politykuje. Ojciec wogóle uważa, że się dziś wszyscy zanadto polityką zajmują, zwłaszcza kobiety, mówi też, że przez tę konstytucję dużo rzeczy ma się zmienić na gorsze. Czy ja wiem? Ojciec człowiek starszy, doświadczony, co ja mogę wiedzieć?
- HALSZKA: To prawda, że szlachta będzie musiała ponieść wiele ofiar, bo nowa konstytucja żąda od niej podatków, których dotąd nie płaciła. Nowa konstytucja bierze w obronę lud wiejski, dotąd całkowicie poddany szlachcie, chce ich nawet zrównać ze szlachtą. Ale te podatki pójda na wojsko, a lud powiększy szeregi obrońców Ojczyzny i podźwignie jej dobrobyt. Warto dla takiego celu ponosić ofiary!
- JANKA: Musimy teraz ponosić ofiary. To obowiązek, a zarazem interes własny. Przy naszym teraźniejszym położeniu...
- BOLEK (*przez cały czas to słuchał rozmowy, to biegł w stronę okna i wychylał się*): Tłum się ruszył! (*Dziewczynki biegną do okna. Słychać zdaleka idący wzrastający szmer*).
- HALSZKA: Boże, Boże, co ta chwila niesie, zwycięstwo, czy klęskę?
- ZOSIA: A mówiłaś, że musi być zwycięstwo.
- JANKA: Musi być. Wierzę, że musi być.
- HALSZKA: Znaku jeszcze nie ma, czy konstytucja uchwalona, musimy czekać.
- JANKA: Nie czekamy sami. Z nami czeka cały naród.
- BOLEK: Cały tłum na ulicy.
- HALSZKA: Nietylko. Z nami — mam teraz takie wrażenie — czeka cała Polska, ta, która jest teraz i ta, która przyjdzie.
- (*Moment ciszy, w którą wpada szmer i bicie dzwonów*).
- HALSZKA: Zwycięstwo!!!
- (*Dziewczynki kupią się przy oknie*).
- BOLEK: Puście mnie naprzód. Jestem mniejszy. Zastłaniacie mi...
- (*Usuwa ją się. Przy oknie tworzy się grupa*).
- ZOSIA: Jak doskonale stąd wszystko widać. Jak na dłoni.
- JANKA — (*zdyszonym głosem*): Zobaczymy... Będą pewnie przychodzili posłowie, twórcy konstytucji, może nawet sam król.
- BOLEK: A pociągną przychodzili?
- JANKA: Dziękować Bogu za zwycięstwo.
- HALSZKA: Przysięgać będą na nową konstytucję.
- (*Bicie dzwonów i szmer wzrastający*).
- ZOSIA: Ale którędy się przedostaną? Ulice wypełnione tłumem. Głowy wyglądają jak okraglaki na bruku.
- BOLEK: Tłum pęka... pęka. Ktoś idzie środkiem.

(Szmer za oknem ustaje. W ciszy biją tylko dzwony, powolniej, uroczyściej.

Dzieci łączą się, wyglądając).

JANKA: Ta chwila warta, aby ją uwiecznić nie tylko piórem, ale i pendzlem.

HALSZKA: Znajdzie się taki, co to robi. Nie brak mistrzów Polsce Stanisława Augusta.

JANKA: Na szczęście nie brak jej też dzielnych synów.

(Chwila ciszy pęka w okrzyk za sceną):

Vivat naród! Vivat król! Vivat wszystkie stany!!!!

(Dzieci wychylają się).

JANKA — *(zdyszonym szeptem)*: Król, sam król.

HALSZKA: Idą twórcy konstytucji: Stanisław Potocki...

JANKA: Ignacy...

BOLEK: Ten tam to Małachowski, marszałek. Prawda?

ZOSIA: Porwali go na ręce. Niosą do katedry! O, tam przed nimi ksiądz Kollataj Hugo. O, księżę Czartoryski Adam.

BOLEK: Tatuś, o, tatuś. Też niesiony na rękach.

ZOSIA: Nigdy w życiu nie zapomnę tego co widzę.

JANKA: Co za zapal! Ma się wrażenie, że radość wyniesie wszystkich ponad miasto.

HALSZKA — *(nagle posmutniała)*: Żeby chociaż wyniosła ponad myśli o interesach osobistych i dała wszystkim Polakom siłę zjednoczenia przeciw obcym!

ZOSIA: Obcy, tak.... Ciekawam, co na tę chwilę powiedzą Rosja i Prusy.

JANKA: Czas najwyższy, aby Polka myślała o własnych interesach, a nie o zdaniu sąsiadów.

HALSZKA: I wierzę, że stać nas dziś na to, aby mieć własne zdanie.

(Za oknem dzwony były cały czas do wtóru rozmowy dzieci. Teraz dzieci milkną. Słychać okrzyki):

Vivat naród, vivat król, vivat wszystkie stany!!!

Zasłona spada.

Marcelina Grabowska



(Krawczyk z krawczką idą, śpiewając)

KRAWCZKA:

Krawczykowie mili,
coście to zrobili?
Dwa fraczki, kolego,
dla króla samego.

KRAWCZYK:

Perłowe dla króla,
pstre dla szambelana.
Oj, leżą jak ulał,
Małgosiu kochana.

KRAWCZKA:

Któż tam kroczy ulicą?
Roześmiane ma lico.

Dekert ci to, mąż prawy,
głowa miasta Warszawy.

DEKERT:

Ej, a czy to nie wiecie,
co się dzieje na świecie?

KRAWCZYK:

Cóż takiego?

DEKERT:

Toć prawie
cuda w naszej Warszawie.
Wielka radość i święto.
Nowe prawa przyjęto.
Dla miast swobód jest wiele.
Król przysięgał w kościele.

KRAWCZYK:

Przysięgał?

DEKERT:

Wszyscy z nim.

I wołali z płakaniem:

Szewczyk z panem zrównany!

Wiwat Król! Wiwat stany!

KRAWCZKA:

Wiwat, mądra ustawa!

Wszystkim wolność i prawa.

*wbiega tłum szlachty, mieszczan, wcho-
dzi i kilku chłopów)*

DEKERT:

Ej, rajcowie, kupcowie
i ubodzy łyczkowie!

Rusznikarze, czapniki,
sławetne rzemieślniki,
złotniczkowie, garncarze

i przezacni siodlarze!

Z Rynku i Franciszkańskiej,

z Mostowej, Świętojańskiej,

wszyscy, co tu jesteście,

radujcie się w tem mieście.

KILIŃSKI:

Hej, mospanie, wie się przecie,
nie jesteśmy byle śmiecie.

Jakby przyszło do wojaczki,
szewce dzielne są chłopaczki.

PRZEKUPKA:

Toć ja, Magda Kiełbaska,
imie przekupka warszawska,
taka dobra — ni słowa —
jak szlachcianka rodowa.

NIEMCEWICZ:

Cny Dekercie, mądry mężu,
nasza sprawa dziś zwycięża.
Z rozjaśnionem stajem czołem,
wielki czyn spełniono społem.

KILIŃSKI:

Jakże poszło?

NIEMCEWICZ:

W pięknej zgodzie.

Rzekłbyś: Boży duch w narodzie.

SZLACHCIC (*ściskając mieszczanina*):

Choć ja szlachcie,

a ty mieszczek,

uściskę cię,

bracie, jeszcze.

MIESZCZANIN:

Ty herbowy,

a ja łyczek.

SZLACHCIC:

Niby bratu

waści życzę.

WSZYSCY:

Wiwat mądre Kołłątaje,
wiwat Małachowski!

Niech w rozkwicie nie ustaje
sławny naród polski.

CHŁOP:

Powiadajcie, dobrodzieje,
a co to się tutaj dzieje?

NIEMCEWICZ:

Dziwne słyhać, dziwne wieści,
a dla kmiotka dobrej treści.

Od dziś oto — mówię szczerze —
sejm w opiekę chłopa bierze.

CHŁOP:

Hej, mazury, dobra nasza,
zatańczymy obertasa.

Kiepsko było, lepiej będzie,
zatańczymy sobie w rzędzie.

SZLACHCIC:

Chwila wielka i jedyna.

Napijmy się, bracie, wina.

Ja postawię! Wino, miody...

WSZYSCY:

Do gospody! Do gospody!

A. Świrczyńska

GDYNIA

GDYNIA. (Dekoracja przedstawia
zarysy portu):

MARYNARZ I:

Co rok w naszej Gdyni
ruch się większy czyni,
niedawno się wzniosła,
a jak już urosła!

MARYNARZE:

Hej, wre życiem cała,
choć niedawno wstała!

MARYNARZ II:

Z wszystkich stron okręty
spieszą przez odmęty,
jedne za drugimi
z różnych krajów ziemi.

MARYNARZE:

— Argentyńskie, włoskie, szwedzkie,
boliwijskie i niemieckie.
Chcesz — to zaraz wyruszamy
do Sycylii, do Panamy,
do Australji czy do Oslo
wnet okręty cię zanosą.

MARYNARZ III:

Z wszystkich części ziemi zajeżdżają do
nas ładunki towarów. Prowadzimy
handel z całym światem.
(wchodzi Indus).



INDUS:

Ja Indus z Indyj
przywozłem ryż łuskany
i banany.

Ja jestem z tego kraju,
gdzie tygrysy mieszkają,
gdzie są słonie, diamenty,
gdzie płynie Ganges święty
i gdzie fakirzy — czarodziejscy męże
nic nie jedzą, tylko usypiają węże.
(wbiega murzyn).

MURZYN:

A ja murzynek dziki
przybywam z samej Afryki:
Wiozę kawę, kakao
kauczuku niemało.
Mój dziadek jeszcze ludzi zjadał,
ale ja jestem słodki i czarny jak
czekolada,
chodzę sobie grzecznie i oglądam
Gdynię
i nikomu krzywdy nie czynię.
(wbiega Australijczyk).

AUSTRALIJCZYK:

Ja Australijczyk z końca świata,
z drugiej półkuli ziemi,
też dowiedziałem się o Gdyni



i przyjechałem wraz z innymi.
Jestem prawie niepodobny do
człowieka,
jak zobaczę zegarek — to uciekam,
taki jestem dziki ogromnie
i nie rozumiem co mówicie do mnie.
Aba - ba - ba mini - fini. —
Aba—ba—ba mini—fini.
Przywozłem wełnę do Gdyni.
(wszyscy trzej tańczą i wybiegają).

(Wchodzi Amerykanin).

AMERYKANIN:

Ja jestem Jankes, mądrości pełny,
przywozłem z Ameryki tytoń
i bawełnę
i tak sobie tutaj chodzę i prawdziwie,
że się dziwię.
Bo ten port — choć się narodził
niedawno
już ruchliwy jest i w świecie sławny.
Warte zobaczenia,
jakie tu są nowoczesne urządzenia
i taka chłodnia,
jakiej się nie widuje co dnia.
W Europie niema takiej drugiej
poza tem

wiem, bo się znam na tem.
Więc choć dziwię się rzadko,
lecz jest dla mnie zagadką,
skąd tu taki zapał, tyle ruchu i pracy.
Dzielny naród ci Polacy.

MARYNARZE (otaczają go):

My ci prawdę wskażem —
polscy marynarze.
Będzie nasz naród port wielki miał,
bo tak chciał.
Będzie nasz naród flotę silną miał,
bo tak chciał.
Naród to jest wielka rzecz,
siła niezwalczona.
Kiedy czego mocno chce,
to już i dokona.
Naród to jest wielka rzecz
kiedy rzekł: tak będzie,
któż tę wolę może wstecz
zawrócić w rozpędzie?

(Amerykanin wychodzi).

MARYNARZ I:

Dalej spieszmy, marynarze,
granatowi chłopcy.
Pożegnajmy naszą Gdynię
jedźmy w kraje obce.

MARYNARZ II:

Na polskim okręcie
Na „Darze Pomorza”
opłyniemy świat dokoła
poprzez wszystkie morza.

MARYNARZ I:

Pod polską banderą powieziemy do
różnych krajów nasz węgiel, cukier,
sól, drzewo.





MARYNARZ II:

A jak gdzie po drodze spotkamy swych
braci - Polaków, co na obczyźnie
mieszkają, to im zawieziemy pozdro-
wienia od polskiego morza: od
Gdyni.

MARYNARZE (śpiew):

Jedzie w świat daleki
hej, polski marynarz;
granatowa kurtka,
bardzo tęga mina.
Jedzie sobie, jedzie
o nic się nie troska.
Wiwat nasza Gdynia,
Wiwat flota polska!

Anna Świrszczyńska



TOBIE, OJCZYŹNO

Obrazek sceniczny z czasów bohaterskiej obrony Lwowa.

O S O B Y:

GRZEGORZ, woźny szkolny

BOLUŚ lat 10

JANKA lat 15 } jego wnuki

DOKTÓR

HARCERZ, SANITARJUSZ i SANI-
TARJUSZKI.

Rzecz dzieje się podczas walk lwo-
wskich w listopadzie 1918 r. Scena
przedstawia klasę w szkole, zamienio-
ną na salę szpitalną. Pod ścianą z le-
wej strony stoją szeregiem łóżka, przy-
gotowane dla rannych. Przedziela je
okno, pod którym stolik. Wprost wi-
dza — drzwi. Nad drzwiami krucy-
fiks. Na ścianie z prawej strony —
tablica. Za sceną słychać stale od-
głosy strzałów.

SCENA I.

GRZEGORZ (siwy staruszek ze ścierką
w rękę — sprząta. Po podniesieniu
kurtyny drepce w stronę drzwi uchyl-
lonych i woła): Panie doktorze, panie
doktorze. To jak ma być z temi
łózkami?

DOKTÓR (za sceną): Grzegorz chwilę

poczekaj, zaraz wrócę, to coś się wy-
kombinuje!

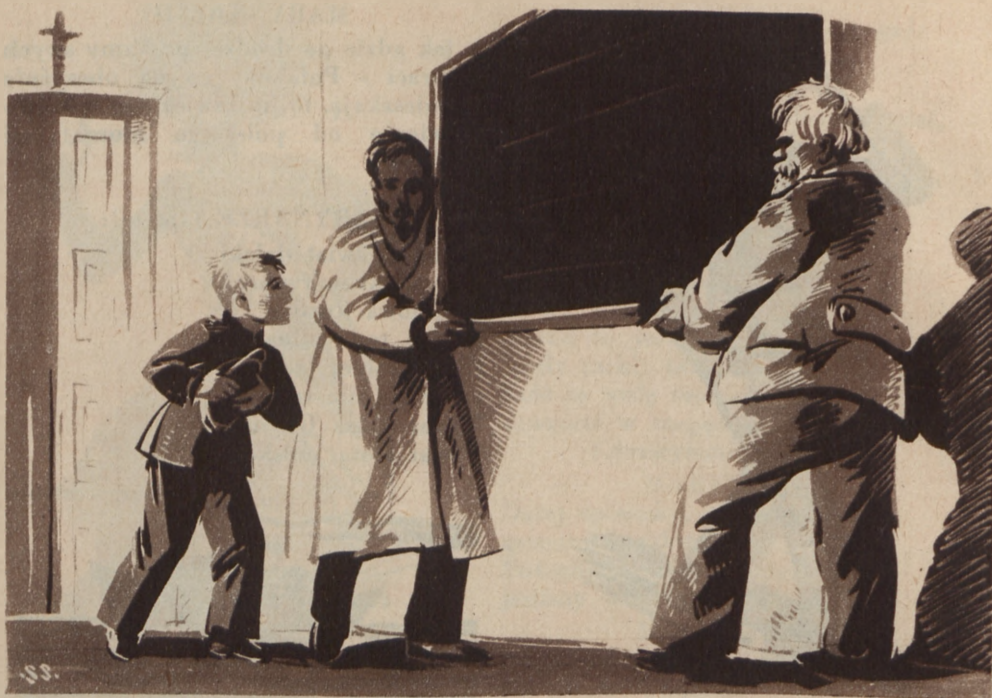
GRZEGORZ (starannie wyciera stolik
i przedmioty na stoliku; chwilami na-
słuchuje): Aby wieczór, to zaraz wię-
ksze strzelanie! To nie, a taki nie
damy Lwowa! Już i nie porachuję
ile to dni tego strzelania. Ale się
bronimy, a niech no przyjdzie po-
moc, ho, ho!

(Wbiega Boluś).

SCENA II.

BOLUŚ: Dziadziu, dziadunku! Słyszysz
dziadzio?

GRZEGORZ (osłania ucho ręką, żeby
lepiej usłyszeć. Powtarza to często pod-
czas całej akcji). A niby co?... He!...
No słyszę!



BOLUŚ: Ale jak strzelają! Słyszysz dziadzio?

GRZEGORZ (*macha ręką*): A toż tylko to i słyszać!

BOLUŚ: Teraz najwięcej w stronę ulicy Bogusławskiego. Dziadziu, jabym tam poszedł!

GRZEGORZ: Co? Ty!... Hę! Co tobie w głowie, ani mi się waż!

BOLUŚ (*Chce go pocałować w rękę. Grzegorz mu nie daje*): Dziadziu, dziadziuniu, dziadzio pozwoli!...

GRZEGORZ: Ale, co ci do głowy strzeło? Cóż ty myślisz smarkaczu, że kule wybierają!

BOLUŚ: Tak mi się przykrzy, wszyscy poszli! Dziadzio pozwoli!

GRZEGORZ: Nie naprzykrzaj się! Poszli tacy co się mogą przydać. A ty? Z czego będziesz strzelał? Co?... Masz to broń?... A choćbyś miał, to nie umiesz! Tam nie po takich malcach!

BOLUŚ: A czy to tylko tacy się przydadzą, co strzelają?... Ja chcę — na łącznika, albo tak może coś posłużyć, przynieść!

GRZEGORZ: — „Posłużyć, przynieść!” Też wymyślił! Ot posłużyć, to i tu

możesz. Pytaj, może trzeba czego panu doktorowi!

BOLUŚ: Ja już pytałem... i rannych na tamtej sali — też pytałem, ale nikomu nic nie trzeba! Jeden prosił, żeby mu co przeczytać, to przeczytałem, ale zasnął!... Dziadziu! (*proszę*). Dziadziuniu!

GRZEGORZ (*macha ręką*): A!... zostaw!...

(*Wchodzi doktor*).

SCENA III.

DOKTÓR: Więc, Grzegorzu, może tak się zrobi! (*rozgląda się, poczem podchodzi do tablicy*) Hm!...

BOLUŚ (*ciszej*): Dziadzio pozwoli!

GRZEGORZ (*znieczepliwiony, ciszej*): Idź-że raz, pan doktor się rozgniewa!

DOKTÓR (*zauważywszy Bolusia*): Mały, nie płacz się tutaj. Tu rwetes, ranni, jęki — to nie dla ciebie! (*ogląda tablicę uważnie*).

GRZEGORZ: Idź, słyszysz, tu nie można! Idź-że już raz! (*do doktora*).

A co, panie doktorze?

DOKTÓR (*znieczepliwiony*): Nietylko można, ale trzeba! (*do Grzegorza*). Czy tej tablicy nie dałoby się zdjąć?

GRZEGORZ: Można spróbować. (*Próbuje poruszyć tablicę*).

BOLUŚ: Dziadziu!... dziadziuś pozwała?

GRZEGORZ: Co? he!... Pójdiesz ty wkońcu?.. (*do doktora*). Trudno, panie doktorze. Strasznie mocno na tych hakach siedzi. Sam nie dam rady! A co ona przeszkadza?

(*Obaj z doktorem próbują zdjąć tablicę. W trakcie tego Boluś mruga porozumiewawczo do publiczności, poczem wychodzi podskakując i zaczyna wyśpiewywać*):

BOLUŚ: Hej strzelcy wraz! Nad nami orzeł biały!...

DOKTÓR: Cicho! Co tam znowu?

GRZEGORZ: Oszalałeś! Tu ludzie rani, a on śpiewa! Skaranie Boskie! (*Dalej zajęci tablicą*).

DOKTÓR: Rzeczywiście — mocno siedzi! Widzi Grzegorz, ja tu chcę zrobić miejsce na jeszcze jedno łóżko! A nad łóżkiem nie powinno nic wisieć. Taka tablica — niby dobrze przymocowana, a zawsze: mury się trzęsą od strzałów i raptem gotowa zlecieć na jakiego biedaka.

GRZEGORZ: E, nie zleci!

DOKTÓR: No, już ja wolę nie ryzykować!...

SCENA IV.

GŁOS ZA DRZWIAMI: Panie doktorze! Panie doktorze!

DOKTÓR: Zaraz, zaraz! (*do Grzegorza*) Jak wrócę to Grzegorzowi pomogę! (*wychodzi*).

SCENA V.

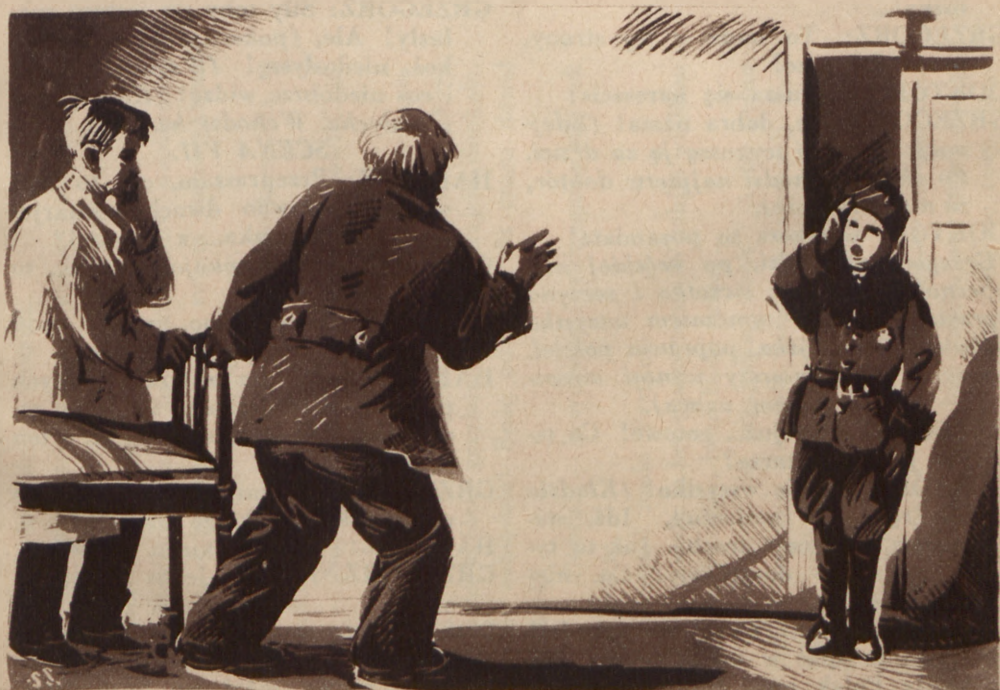
GRZEGORZ (*sam*): Strzelają, a strzelają! I kiedy to się skończy?... Janki jakoś nie widać! Tak wciąż to — po rannych, to — z rannymi! A mnie staremu aż serce z niepokojem ustaje. (*Ze złożonymi rękami w stronę krucyfiksu*). Panie Jezu, Panie Jezu! Ty widzisz, ja mam ich tylko dwoje. Ona musi ratować rannych, co za Ojczyznę, za nasz Lwów!... Jezu chroń ją! Boże miłosierny!

SCENA VI.

DOKTÓR (*wchodzi*): Zdawało mi się, że Grzegorz z kimś tu rozmawiał?

GRZEGORZ: E, niema nikogo. Ja tak tylko... myślę co to Janka nie wraca... moja wnuczka!

DOKTÓR: Ach, ta młodziutka sanitariuszka! Oto dzielna niewiasta!





Może Grzegorz być dumny. Nie śpi, nie je, niezmordowana w pracy i nawet nie znać na niej zmęczenia! No jak tam z tą tablicą? Bierzmy się za nią! Bo zaraz mamy dostać łóżka!...

GRZEGORZ: To może z tej strony, panie doktorze!

DOKTÓR: O, rusza się nareszcie!

GRZEGORZ: No, dobra nasza! (Zdejmuje tablicę i wynoszą ją za drzwi. Po chwili wchodzi najpierw doktor, za nim Grzegorz).

DOKTÓR: Grzegorz tu pozamiata! (Grzegorz wychodzi, po krótkiej nieobecności wraca ze szczotką i zaczyna sprzątać. Doktor tymczasem wszystko ogląda: stolik, łóżka, poprawia pościel. Grzegorz uprzątnowszy wynosi szczotkę, poczem wraca).

GRZEGORZ: To już... gotowe! Co teraz, panie doktorze?

DOKTÓR: Narazie wszystko! (Kładzie mu rękę na ramieniu). Idź, starszku, odpocząć trochę. Już to tyle nocy nie dosypiamy! Co, nieprawdaż?

GRZEGORZ: Hm! To nic nie szkodzi! Gdzie tu spać w takiej porze. Toć każdy Polak musi bronić wolności

i Ojczyzny. Ja sam też chciałem pójść przeciw na sanitariusza!

DOKTÓR (z uśmiechem). No, wiek już niepotemu! Sił już Grzegorz nie ma!

GRZEGORZ: Siły toby się jeszcze znalazły! Ale, (pokazuje na ucho) jakoś niedosłyszę! (Wskazuje oczy) i coś niedobrze widzę! (Kiwa głową i wzdycha. Wchodzi harcerz).

SCENA VII.

HARCERZ: Przepraszam, czy to stąd wyszło niedawno dwóch sanitariuszy i sanitariuszka... z noszami?

GRZEGORZ (zaniepokojony): Tak, to stąd, a bo co?

DOKTÓR: Niewiadomo, może spod 10-go, tam jest punkt sanitarny.

HARCERZ: Bo, bo zbierali rannych pod silnym ostrzałem. I... jeden sanitariusz i sanitariuszka padli, a ten drugi — ranny.

GRZEGORZ: Sanitariuszka! Taka młodzianka? Niskiego wzrostu?

HARCERZ: Tak... niskiego wzrostu.

GRZEGORZ. Janka! Jezus Marja, to ona!

DOKTÓR (ostro): Nic niewiadomo! Trzeba sprawdzić dokładnie! Jeśli druh będzie mógł się dowiedzieć,

Każdy grzyb przejdzie jeszcze przez kontrolę Trusi, żebyśmy się nie potruili.

Jest dziś bardzo gorąco, ale w lesie tego się nie czuje. Maniusia została przy pannie Julji, nie chciała iść do lasu.

Niesiemy małe koszyczki, torby papierowe, chustki, Edek ścina grzyby swoim scyzorykiem. Mnie pożyczył go na pół godziny.

Basia niesie koszyk z podwieczorkiem. Są to kromki chleba z kiełbasą.

— No, dalej już nie pójdziemy — mówi Chińczyk.

Siada na pniu i rozkłada książkę do czytania.

— Które z was więcej przyniesie borowików, zostanie królem grzybowym! Zbierajcie dookoła, a nie zabłądzić! Będę od czasu do czasu dawał gwizdek!

— Dobra! — krzyczymy i rozbiegamy się, jak psy gończe.

Dogonił mnie Pestka:

— Lutek, ja będę przy tobie. W takim wielkim lesie, to ja mogę, broń Boże zginąć...

Poszliśmy do zagajnika, wbok. A tu pełno jeżyn! Soczyste, dojrzałe wiszą na gałązkach. Siedzimy, pochyleni w krzakach, zjadamy całe garście zapominając o grzybach. Pestka wsadził nos w liście, a ja podnoszę głowę i co to... widzę, o kilkanaście kroków przed sobą żywe stworzenie... Bronzowa sierść, zgrabne nóżki, sterczące uszka, pyszczek z czarnym noskiem i śliczne oczy... sar-

usługują. Edek pilnuje dzieci w lesie żeby nie hałasowały.

— Mówiłyście, że ona tchórz! Ładny tchórz! Ani chwili się nie namyslała, a przecież nie umie pływać... Żeby tam było głębiej, to... Głupi Tomek ze swojemi rybami! Mógł nas ładnie urządzić!

— Czemu Chińczyk nie wraca?

— Wszystkie biedy na nas idą!

— Ale dobrze się kończą...

— Jeszcze nie wiesz czy dobrze... Trusia może chorować... ona takie chuchro, wygląda okropnie źle...

— Wszystko przez Tomka!

— A dlaczego Kazia go nie pilnuje?

— A dlaczego nie słuchał pani? Przecież go przestrzegala!

— Każdy mądry po szkodzie!

— Wiecie? Ja coraz więcej lubię Trusię i Chińczyka...

— Ja też!

— Dziś będziemy bardzo grzeczni. Pamiętajcie, kto się zachowa źle — zostanie wyłączony z Dworu Chińskiego...

Co chwila dowiadywaliśmy się od dziewczyn jak się Trusia czuje. A Pestka, nie wiedząc co dobrego zrobić, poszedł na łąkę, zbierał kwiatów i zaniósł pannie Julji. Podobno była bardzo zadowolona...

Zaraz po podwieczorku, przy którym wcale nie kłóciliśmy się o marmoladę, jak codzień, — przy-

jechał Chińczyk. Przestraszył się, że panna Julja chora, wysłuchał naszych opowiadań ze zmarszczonem czołem. Dokładnie wypytywał się o papierosy Romana, o wędkę Tomcia. Nie dawał nam żadnych nauk, tylko powiedział:

— Rozumiecie dlaczego miały miejsce te wypadki i jak się mogły zakończyć. Pomyślcie, ile w tem waszej własnej winy.

Potem oglądaliśmy składzik. Spaliła się jedna ściana, trochę drzewa opałowego i część dachu.

— Musimy to sami zreperować — powiedział Chińczyk po namyśle. — Wspólnemi siłami. Dlaczego przyszłe kolonje mają mieć przez nas niewygodę?

— Naturalnie — powiedział komicznie Tomek. A Edek nagle sobie przypomniał:

— A jak pan Sikorski?

— Właśnie! — krzyknęliśmy.

— Leży w szpitalu. Zrobili mu operację.

Może wyjdzie z tego, ale słaba nadzieja...

— A jak Roman? — dopytujemy się.

— Biedny Roman. Gdy zostanie sam na świecie, zmarnuje się do reszty — mówi Chińczyk poważnie i tak cicho, jakby sam do siebie. Biedny Roman — myślimy wszyscy przy wieczornym pacierzu. Już nie cieszymy się, że go tu niema. Już nie czujemy do niego żalu. Jest najbiedniejszy z nas...

— Słuchajcie, pomodlimy się razem za zdrowie pana Sikorskiego — mówi Kazia.

nas poznają! Nawet Kazia robi się podobna do człowieka. A Mania to już zupełny pomidor. Pestka zrobił się śmiały i ruchliwy. Pilnuje obozu Romana i nazywa siebie teraz wodzem. Widziałem jak wielki wódz bawił się w swoim wigwamie... lalkami, z Maniusią...

Jesteśmy teraz wszyscy pokojowo nastroszeni. Cieszymy się, że jest pogoda i że dzieją się same przyjemne rzeczy. Jutro kończymy pracę przy składziku, Chińczyk obiecał wyprawę do dużego lasu, na grzyby.

Wycieczka.

Maszerujemy długo, długo, coraz to gęstszy las. Śpiewamy chórem różne pieśni, a potem Chińczyk mówi:

— Możecie teraz iść w rozsypce, ale nie oddalać się, wracać na mój gwizdek. Myślę, że już cenicie sobie ostrożność.

Uciekają nam z przed nóg ptaki i wiewiórki. Stefek zobaczył jaszczurkę, a Rafek wystraszył się zająca, który wyskoczył zza krzaków. Basia zbiera jeżyny i uwalala sobie twarz sokiem. Pachnie tu ziemią i grzybami. Jest bardzo, bardzo przyjemnie. Ogromnie lubię las i rozpoznaję już dużo drzew. Znam się też na grzybach. Tomek narobił gwałtu bo znalazł dwa białe muchomory, a ja je wyrzuciłem.

— To trujące!

— To moje cudne grzyby! Nie rusz!

Zbieramy podgrzybki, gąski, kurki, rydze.

— Żeby wszystko w nim było cudne! — prosi Tomcio.

— Okna na słońce, dużo okien...

— I kwiaty...

— I malowane drzwi...

— Dużo, dużo pokoi!

— Czy teżby się nazywał Chiński?

Edek myśli:

— E, chyba nie. To byłby nasz. Czekajcie, już wiem... nazywałby się Dom dzieci...

— Mieszkalibyśmy tu każdego lata...

— No, dobrze, ale przecież wtedy nie będziemy już dziećmi...

— Prawda.

Zasmuciło nas to przypomnienie Kazi. A już wyobrażaliśmy sobie nasz dom...

— Może zbudujecie, niewiadomo... — pociesza nas Chińczyk — jak nie wy, to wasze dzieci...

Wybuchamy śmiechem. Co jak co, ale naszych dzieci nie możemy sobie wyobrazić...

Edek zanosí się od śmiechu:

— Naprzykład syn Tomcia — palucha... co? Śmiejemy się, że córka Mani, to będzie beczka. A potem znów Kazia wzdycha:

— Szkoda, że na przyszłe lato tu nie przyjedziemy...

Tak, to prawda. Już niedługo wracamy do miasta, a niewiadomo jak prędko uda się znów uzyskać miejsce na kolonji.

Poprawiliśmy się, że chyba w domu ledwie



I odmawiamy głośno jeden pacierz więcej przed obrazem Matki Boskiej.

Wieczorem Edek szepcze do mnie:

— Śpisz?

— Nie.

— Wiesz, myślę o tem, że mnie coraz więcej obchodzą Chińczyk i Trusia i wogóle nasi...

— Acha. Nawet Groźny.

— Nawet. Pomyśl... żeby twój ojciec...

— Mój dawno umarł, nie pamiętam...

— Ale żeby tak teraz sierotą... rozumiesz? Teraz.. Brr... Ja wiem, jak to jest bez rodziców. Żle. Tak jak mnie. Nie życzę nikomu. Dopiero tu jest mój dom. Ten Chiński Dwór...

— Będę żałował, gdy się skończy miesiąc...

— Ja też! Chociaż było tu tyle nieprzyjemnych przygód!

— Wiesz, to śmieszne, ale ja po tych wszystkich hecach więcej lubię naszych. Wiadomo kto jaki jest. Naśmiewaliśmy się z Rafka, a okazał się dobrym kolegą. Nawet taka Wstańka... pomyśl!

— Myślę, że może niema złych ludzi, tylko trzeba zawsze poczekać na odpowiednią chwilę...

Przypomniiał mi się szewc z naszej kamienicy, który codzień bił żonę. Przypomniiał mi się napad na dzieci... przypomniiało mi się dużo straszności z miasta.

— Hm. Bo ja wiem? Chyba są i źli. Ale nie u nas. Nie w Chińskim Dworze. Dobrze mi tu.

— Mnie też dobrze, Lutek. Dobranoc!

ROZDZIAŁ IX.

Jeszcze jedna przygoda.

Już cały tydzień pracujemy przy naprawie składowiku. Nowe deski przywiózł nasz niedoszły znajomy... ojciec Esterki. Chińczyk kieruje robotą, sam pracuje także. Zbijamy deski, mocujemy dachówki, jakoś potrochu idzie. Najwięcej pomaga nasz nadworny majster — Stefek.

— Inżynier z ciebie wyrośnie — mówi Chińczyk. Nero uwija się między nami i poszczekuje wesoło. Tomcio paluch nosi nam gwoździe i narzędzia. Jest przejęty nową robotą. Zapomniał o wędecku, która popłynęła po rzece... Trusia jeszcze leży. Zaziębiła się, musi odchorować przygodę. Dziewczynki wyręczają ją we wszystkim, kochają ją teraz, że nie wiem! Każda stara się pani uprzyjemnić chorobę. Trusia uśmiecha się z łóżka i już nie wygląda jak chodzące nieszczęście...

Nareszcie przez parę dni nie było żadnych złych przygód. Do obiadu bawimy się w lesie i na plaży, a popołudniu pracujemy przy budowie. Edek kiedyś powiedział:

— Żeby tak własny dom dla nas budować!

— Własny Chiński Dwór?

— Ba! — westchnął Stefek. I zaraz dodał:

— Czekaście, może kiedy będę inżynierem, to jeszcze zbudujemy!

— Ale taki ogromny, jaśny, dla wszystkich dzieci z miasta! — uśmiecha się Kazia.

jak się nazywa zabita, to proszę nam zakomunikować!

GRZEGORZ: Czy nie Starska? O Panie Boże, ratunku!

HARCERZ (*salutuje*): Cześć! (*wychodzi*).

SCENA VIII.

DOKTÓR: Bądź mężny, przyjacielu. Nie trzeba rozpaczać, gdy się nie wie napewno!

GRZEGORZ: A, jeśli to ona! Jeśli — ona! O Boże, o Panno Najświętsza!

DOKTÓR: Jeśli ona, to wiesz, co musisz powiedzieć!

GRZEGORZ: A co, co panie doktorze?

DOKTÓR (*poważnie*): To, co powinno być hasłem każdego Polaka, tak w bitwie, jak i w pracy codziennej, podczas pokoju!...

GRZEGORZ: A co? a co?...

DOKTÓR: To, co od wieków powtarzał każdy Polak, gdy krew przelewał w boju, lub gdy na polu walki tracił najdroższe istoty... (*Grzegorz zbliża się i patrzy pytająco*).

DOKTÓR: Krótkie dwa wyrazy. (*uroczyście*)

„Tobie, Ojczyzno”!

GRZEGORZ (*wyprostowuje się, jakby usłyszał komendę. Opuszcza ręce.*

Chwila milczenia).

DOKTÓR. A teraz do roboty! I nigdy nie rozpaczaj napróżd!

SCENA IX.

GŁOS ZA DRZWIAMI: Panie doktorze, mamy świeżych rannych! Gdzie ich umieścimy? Na naszej sali są tylko trzy łóżka wolne!

DOKTÓR: Już idę! (*wychodzi*).

SCENA X.

GRZEGORZ (*sam*): A tak prosiłem: „Bądź ostrożna!” a „nie narażaj się!” Oj, Boże, Boże! — Taka dobra była, kochana! O wszystkim pomyślała i dbała o starego i o tego malca!... (*zamyśla się*). Trzeba się dowiedzieć, co on tam sam robi w mieszkaniu! (*chce wyjść*).

SCENA XI.

SANITARJUSZ I: Czy to tutaj tego rannego chłopca wniesiemy?

SANITARJUSZ II: Doktor tutaj kazał. (*Wnoszą nosze. Na nich Boluś, blady, bez ruchu. Ręka obandażowana*).

GRZEGORZ: A to i tu już ktoś będzie!... (*Podchodzi bliżej*) Panno Najświętsza a to... kto? Boluś!... jakim sposobem...

(*Sanitarjusze ustawiają nosze pod ścianą, gdzie wisiała tablica. Sanitarjusz 1-szy wychodzi*).

SANITARJUSZ II: Doktor ma zaraz przyjść, to powie wszystko. A pan zna tego chłopca?

GRZEGORZ: Panie Boże! Toć mój wnuk! Boluś, Boluś! (*pochyla się*). On się nie rusza! (*Drepcie naokoło noszów, dotykając to ręki, to włosów chłopca. Z przerażeniem*.) — On wcale nie dyszy! (*Chwyta się za głowę i zaczyna szlochać, najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, wreszcie wznosząc drżące ręce ku górze, osuwa się na kolana. Głosem, przerywanym przez łzy*). Tobie... Ojczyzno!... (*Głowę ukrywa na posłaniu rannego i szlocha*).

SANITARJUSZ II (*ocierając łzy woła w stronę drzwi*): Panie doktorze!

SCENA XII.

DOKTÓR (*wchodzi i przez chwilę patrzy to na Grzegorza, to na chłopca, wreszcie pochyla się nad Grzegorzem*): Staruszkule, nie trzeba płakać! (*podnosi go*). Chłopiec żyje i zdrowy będzie! Kula przeszła rękę, ale nie naruszyła mięśni. Kaleką nie będzie! Tylko sporo krwi stracił, więc omdlał z osłabienia, zaraz będziemy go cucić. No i spokoju mu potrzeba! (*Podsuwa Bolusiowi flaszkę z lekarstwem do powąchania*). Ale wnuk się Grzegorzowi udał! Co za dzielny malec! Niech-no Grzegorz posłucha, co on zrobił. Poszedł w stronę szkoły kadetów i przyłączył się do jakiegoś chłopca łącznika, co właśnie niósł rozkaz. Chłopiec padł ranny. Niedawno go tu przynieśli i właśnie nam to opowiedział. A ten mały zabrał rozkaz i, jak się okazało przedostał się na pozycję i rozkaz oddał. To już potem



sanitarjusze widzieli. (*Sanitarjusz porusza głowę twierdząco*). A później, gdy wracał, trafiła go kula, ale powtarzam, żyć będzie!

GRZEGORZ (*trochę spokojniejszy, chce podnieść Bolusia. Doktor powstrzymuje go ręką*). Oj, bo, panie doktorze, — dwoje mi ich zostało i miałbym stracić tak od razu oboje! (*macha ręką*). Oj, Boże, Boże!

BOLUŚ (*otwiera oczy, słabym głosem nawpół przytomnie*): Puszczajcie!... Bo ja... rozkaz!... Oj, gdzie ja jestem?

DOKTÓR. Ano przypadkiem w szkole. O, i patrz! Dziadzio jest przy tobie.

BOLUŚ: A już sobie przypominam (*chce poruszyć ręką i syczy z bólu*). Ale dziadzio się nie gniewa, bo ja przecież dziadzia prosiłem! Dziadzio pozwolił!...

GRZEGORZ: Ja pozwoliłem! W imię Ojca!...

BOLUŚ: I pan doktor też!

DOKTÓR: Ja?! To chyba nieporozumienie. No, ale niema o czym mówić! Spisałeś się dzielnie, więc już tym razem dziadzio ci daruje.

GRZEGORZ: A daruje, daruje! (*grozi mu palcem i jednocześnie całuje*).

je). Leż oto spokojnie i ręką nie ruszaj! Boże broń!

SCENA XIII.

(*Wchodzi Janka z drugą sanitariuszką. Na twarzy Grzegorza maluje się najpierw zdziwienie, potem najwyższa radość*).

JANKA. Boluś, mówiono mi, żeś ranny. Ale i o tym rozkazie słyszałam. Dzielny mój braciszek! Kochany!... (*Chce go pocałować*).

GRZEGORZ: Janka! O Boże mój!... Ty żyjesz!

JANKA (*zdziwiona*): Żyję, albo co?

GRZEGORZ: Bo tu była wiadomość, że taka młoda sanitariuszka — niskiego wzrostu — zabita!

JANKA: A tak, ale jeszcze nie ustalono nazwiska. To zdaje się z tamtego posterunku.

DOKTÓR (*do Grzegorza*): A mówiłem! Nigdy napróżd nie trzeba rozpaczć!... No, teraz, Grzegorzu, pierwsza rzecz — Panu Bogu podziękować!... Wrócili oboje, a że chłopiec chrzest bojowy przeszedł — toć to zaszczyt niemały... Winiemy ci wszyscy takich orląt, starszku!... Słyszysz?

GRZEGORZ (*wzruszony*): Słyszę, panie doktorze!

DOKTÓR (*do Janki*): Może pani jednak zaprowadzi dziadka, niech sobie odpocznie. Przeżył dziś i on, — biedaczysko — dużo!... Pani się też wypoczynek należy. O Bolusia niech się pani nie kłopotce. Zaraz go się na łóżku położy! A opieki mu nie zbraknie. Tak, tak, pani się już chwije poprostu! (*Janka opiera się o łóżko*).

SANITARJUSZKA: A bo też pracowała! My starsi, a nie mogliśmy nadążyć, tak się zwijała! Gdzie największy obstrzał, tam już ona! Rannych dźwiga! My wtedy za nią — pomagać. Ale tych rannych z ostatniego transportu, to wszystkich prawie sama uratowała.

JANKA (*ma minę bardzo zażenowaną*): To nie ja... to wszyscy!...

SCENA XIV.

(*Wbiega III sanitariuszka*).

SANTARJUSZKA III: Są wieści, narazie zupełnie pewne!

(*Wszyscy ją otaczają. W czasie, gdy mówią słychać za sceną śpiew przechodzącego wojska, narazie oddalony, potem coraz bliższy. Śpiewają bez słów „Jeszcze Polska nie zginęła”*).

Jak szeroka Polska cała uchodzą najeźdźcy. Oto Ojczyzna zjednoczona, — po wiekowej niewoli z kajdan rozkuta! Komendant Piłsudski powrócił z Magdeburga i objął władzę naczelną! Poznań, Warszawa, Kraków — złączone! A na tym krańcu Rzeczypospolitej - Lwów prastary! On — urną i łzawnicą Polski! — Od tyłu dni wciąż w ogniu, dymami strzałów osnuty! Lecz bronią swego grodu młode orlęta; bronią, nie szczędząc życia, ni krwi ofiarnej. Aż wyratowany i wolny — jak klejnot do Twej korony ofiarują — Tobie, Ojczyzno!

(*Kurtyna powoli spada*).

Janina Szymańska

W WARSZTACIE

CHŁOPAK:

Panie stolarzu,
co w warsztacie masz?
A za moje złotóweczki,
co mi wzamian dasz?

MŁOTEK:

A ja młotek
głową walę,
wbijam gwoździe
i hufnale...
buch... buch... buch...

STOLARZ:

Mam w warsztacie
pomocników-robotników,
którym nigdy do roboty
sił nie zbraknie, ni ochoty.
Szachu... machu... bum, bum, bum...
Już od rana idzie szum...
Szachu... machu... puk, puk, puk...
Już od rana słychać stuk!

PIŁA:

Jestem piła
bardzo miła...
Rznę deseczki
na półeczki...
ż... ż... ż... ż... ż...





ŚWIDER:

Wrr... wrr... wrr...
mocno wkręcam się,
w deskach robię różne dziury,
świdrem nazywają mnie!...

STRUG:

Ja znów strug,
dawniej heblem zwany...
SZ... SZ... SZ...
ostrym nożem wióry ścinam
i w pierścionki zgrabne zwijam...

SZ... SZ... SZ...
Już jest deska
równa... gładka...
będzie stolik, albo ławka...
SZ... SZ... SZ...

OBCEGI:

Hej-że, gwoździu,
trzymaj się,
bo za głowę
chwycę cię!
Patrz-no, jak bez mitręgi,
pracują obcegi.

STOLARZ:

Gdy już moich
pomocników znasz,



to wybieraj sam...
dużo rzeczy mam...
Krzesło, stolik, czy szafeczkę,
może łóżko, czy półeczkę,

może kredens, lub stołeczek,
albo półkę do książeczek!
Różne rzeczy mam,
więc wybieraj sam!...

K. Czaki

W P R Z E D D Z I E Ń

(Kilkoro dzieci, uczniów i uczennic, porządkuje plac. W rogu sceny stoi pomnik, zasłonięty płótnem. Ma być następnego dnia odsłonięty. Zboku stoi ławka ogrodzona, na niej stos chorągiewek biało-czerwonych, doniczki z kwiatami stoją na środku i po bokach, są jeszcze nieustawione; dzieci wiją girlandy, zawieszają festony, wbijają gwoździe i t. d.)

KAZIO: Śpieszmy się, wszystko dziś musi być gotowe!

STASZEK: Na jutro nic nie można zostawiać do roboty.

MARYSIA: Albo to o tem nie wiemy?

JĘDREK: O, jutro nie będziemy wieńców zawieszać przy biskupie i przy ministrze. Wszystko musi być gotowe, zanim goście przyjdą.

(za sceną słychać gwar i nucenie.)

KAZIO: Prędko, pozbierajmy jeszcze te gałązki.

WACEK: O, już śpiewają, nie zdążymy na próbę.

MARYSIA: Zdążymy, zdążymy. Jeszcze tylko kwiaty ustawić!

(ustawiają doniczki koło pomnika.)

HELENKA: Trzeba jeszcze podmieść tyle śmieci.

(kilkoro dzieci wymiata śmieci za kulisy.)

NAUCZYCIEL (*zagląda na scenę*): Czy wszystko gotowe? Ho, ho, jak porządnie. Napracowaliście się pewno do siódmego potu. Zmęczyliście się bardzo?

DZIECI: E, nie, nie bardzo.
Ręce nas bolą od choiny.
Janek palec sobie przytłukł młotkiem.

A Józek to o 4-ej rano przyleciał do roboty.

JÓZEK: E, jaka robota! gałęzie pociąłem na wieńce.

NAUCZYCIEL: Myślę, że lepiej tu przy pomniku zrobić próbę.

KAZIO: A chorągiewki? Chorągiewki jeszcze nie rozwieszone.

NAUCZYCIEL: Chorągiewkami jutro ubierzemy bramę i okna.

(*kilkoro dzieci przenosi chorągiewki z ławki na schodki przy pomniku*).

NAUCZYCIEL (*woła za scenę*): Chór niech tu przyjdzie! zaraz!

(*wbiega i wchodzi kilkoro dzieci: może być 10-ro albo więcej, zależnie od wielkości sceny*).

NAUCZYCIEL: Ustawcie się tak, jak macie jutro stanąć. Porządnie, cicho, bez popychania się.

(*wszystkie dzieci stają półkołem przed pomnikiem, twarzami zwrócone do widowni*).

NAUCZYCIEL (*poprawia*): Helenka mała, niech stanie na przodzie. Wić, przesun się więcej na prawo.

(*Podaje ton, postępuje tak, jakby miał lekcję śpiewu*).

NAUCZYCIEL: Uwaga, uwaga. Zaczynamy.

CHÓR (*śpiewa*).

To nieprawda, że Ciebie już niema,
to nieprawda, że jesteś już w grobie,
choć płacze cała polska ziemia,
— cała polska ziemia w żałobie.

Choć Twe serce już więcej nie bije,
choć opuścił Cię duch Twój dzielny,
w naszych sercach nazawsze żyjesz,
ukochany Wodzu, nieśmiertelny!

Byłeś dla nas posągiem ze stali,
byłeś nam i sztandarem wspaniałym,
Ty coś Polskę z niewoli ocalił
i wydzwignął na szczyty chwały.

Byłeś dla nas droższy nad wszystko,
boś nad wszystko większy i wyższy —
nam dźwięczało Twoje nazwisko
hasłem boju w codziennej ciszy.

Nauczyłeś nas walczyć niezłomnie
o najlepszą, rycerską wolność,
nauczyłeś, jak siebie zapomnieć —
ale Ciebie zapomnieć — nie wolno.





(Chwila ciszy. Na znak nauczyciela wolno przegrupowują się: stoją twarzami do zasłoniętego pomnika, po obu jego stronach).

CHÓR (zbiorowa deklamacja)
(razem) Marszałku! Marszałku!

wiodłeś Ty nas w bój,
i daleko w przyszłość
wybiegał wzrok Twój!

(jeden głos) Na sybirskich tajgach
i w więzienną noc
śniła Ci się Polski
jaśniejąca moc.

(2-gi głos) Śniła Ci się Polska
wolna, w szczęścia dniach...
szedłeś drogą twardą,
w trudzie i we łzach...

(razem) Marszałku! Marszałku,
wiodłeś bratni huf,
gdy wojna żądała
czynów, a nie słów!
W bitwach i okopach
zatracił się czas...
Z piersi zesunąłeś
nam niewoli głaz!

(jeden głos) Nakreśliłeś szablą
granic polskich łuk,
Polska się buduje,
słychać młotów huk!

(razem) Marszałku, Marszałku,
zbudź się na nasz głos —
Ty, coś życie rzucił
Ojczyźnie na stos!...

(Chwila ciszy. Dzieci zwolna odwracają się od pomnika, przechodzą z miejsca na miejsce, poprawiają kwiaty.)

NAUCZYCIEL: Dobrze, dobrze. Na dziś koniec. Idźcie już do domu. Ale jutro, żeby żadnego z was nie brakowało.

DZIECI (gwarnie): Och, jutro! Ale będziemy się bać jutro! — Tyle gości przyjdzie! I każdy bedzie na nas patrzył! Jutro nie będziemy mogli śpiewać ze strachu.

NAUCZYCIEL: Nic się nie boję. Tak źle nie będzie. *(śmieje się)* Jakżeby nasza szkoła wyglądała? Zaśpiewacie napewno dobrze. Idźcie już, idźcie do domu.

DZIECI: Dowidzenia, dowidzenia! *(kłaniają się, nauczyciel zegnając się z dziećmi wychodzi. Dzieci wychodzą za nim. Po chwili wraca na scenę Józik i zaczyna szukać)* *(zza sceny wołają inne dzieci)* Józik, Józik, nie marudź, chodź prędzej!

JÓZIK *(odkrzykuje)* Książkę zostawiłem, tutaj, a może w klasie. Muszę poszukać. *(szuka gorączkowo).*

(Zza sceny wołają chłopcy): Józik, Józik, chodźże!

JÓZIK: Nie mogę znaleźć książki. Nie czekajcie na mnie! *(ściemnia się)* *(chodzi po scenie, zagląda pod ław-*

ki) Gdzież ta książka? Napewno nie odnosiłem jej do klasy. (*podchodzi do pomnika i przestaje szukać*). Co to też jutro będzie? Takiej uroczystości nie mieliśmy, jeszcze w naszej szkole: odsłonięcie pomnika Marszałka! W sam dzień rocznicy śmierci! I taki napis na pomniku. (*Uchyła płachtę i czyta*). Józefowi Piłsudskiemu — Wskrzesicielowi Państwa Polskiego — pomnik ten wznoszą — dzieci szkoły powszechnej..... (*zasuwa płachtę, siada obok na ławce.*) Dopiero teraz czuję, że jestem zmęczony. Gdzież ja tę książkę zostawiłem? Chciałem ją koniecznie dziś przeczytać, bo jest o życiu i czynach Marszałka. I właśnie teraz zapodziała się. Lubię czytać o Wielkiej Wojnie. Mój wuj zginął wtedy, w 1914, pod Laskami. Był uczniem 8-ej klasy gimnazjum. Babcia mi o nim często opowiada. (*Zamyśla się*) Ilu ich wtedy zginęło! I Marszałka niema już z nami! (*nuci pocichu melodję:*) O, mój rozmarnie... (*przerzywa*) Babcia płacze, jak słyszy tę nutę... Oni, żołnierze z 1914 roku, często śpiewali tę piosenkę... (*nuci w dalszym ciągu, opiera się rękami o poręcz ławki, uidać, że jest senny i zmęczony. Za sceną muzyka gra cicho tę melodję i gra przez wszystkie następne sceny, przerywając w czasie deklamacji. Józik zasypia.*)

Na scenie jest ciemno. Zza pomnika wysuwa się ciemno ubrana postać, w powłóczystych szatach, mało widoczna na tle pomnika. Staje tuż przed pomnikiem, twarzą do widzów. Może mieć gwiazdę na czole).

POSTAĆ Z GWIAZDĄ (*mówi wyraźnie, ale nie za głośno*):

Żołnierze!

Przyzwijcie wszystkie nadzieje!

Przyzwijcie wszystkie wiary,

i święćcie niemi miecze!...

Oto się piszą dzieje:

Nad Polską dymią pożary —

W pożarach wolność dnieje!

Krew, krew, co z ran wyciecze,

dopełni dzisiaj miary!...

Bagnetem piszcie kartę,

Krwia — dziełem Waszych rąk...

To pismo niezatarte
w gromowej dziejów burzy
Bóg gromem Swym powtórzy —
pioruny biją wkrąg!...

(*woła*): Żołnierze!

Nad Polskę sztandar spłoniony,
zwycięski, triumfujący:
chorągiew Waszej krwi!

(*W połowie przemówienia Postaci słychać za sceną przytłumiony, miarowy i zbliżający się tupot piechoty. Przy ostatnich słowach wchodzi na scenę Żołnierz z 1914 roku, salutuje przed pomnikiem. Zboku ustawia się powoli oddziałek żołnierzy, którzy wchodzić jak widma, z różnych stron, powoli, sennie, skupiają się razem i tworzą oddział w czasie jak żołnierz mówi.*)

ŻOŁNIERZ:

Zza mogiły przychodzimy cześć Ci,
Wodzu, dać,
z pól bitewnych ta żołnierska, szara
Twoja brać!
Z nami, Wodzu, przemierzyłeś Polskę
wszerz i wzdłuż,
i nad nami i nad Tobą krzyż jaśnieje
już!

(*ściemnia się zupełnie na scenie.*)

Chwała Tobie, Wodzu Miły, Dziadku
Ty serdeczny,
chwala Tobie, cześć Ci, Wodzu,
i spoczynek wieczny!
(*światło pada nagle na pomnik, już odsłonięty: widać popiersie Marszałka. Postaci z gwiazdą już niema.*)

ŻOŁNIERZ (*mówi dalej*).

Bojowaniem życie Twoje od zarania
dni,
Polsce życie Swe oddałeś, Polska Ci
się śni!
My Ci serca przynosimy i walk tych
wspomnienia,
lat ubiegłych echa tęskne, minione
zdarzenia...
(*cofa się do linii oddziału, który stoi w mroku; oświetlony jest tylko pomnik.*)

ODDZIAŁ (*przechodzi na miejsce oświetlone, przed pomnik. (Dekl. zbiorowa).*)

Starym ojców naszych szlakiem
przez krew idziem ku wolności!



Z dawną pieśnią — dawnym znakiem—
my—żołnierze sercem prości,
silni wiarą i nadzieją,
że tam kędyś świty dniają!
Zawołały ku nam zdala
starych hasel złote dzwony!
Zaszumiała kłosów fala...
wiatr z dalekiej powiał strony,
i na złotym grał nam Rogu
pieśń o Sławie — i o wrogu!
...Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w nowe zorze!
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem
po wyroki idziem boże
w przełomowej dziejów chwili,
którą w snach my wymodlili!
Niech za nami nikt nie woła!
Niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła —
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy — jako Oni!
Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w jutra wschody.
Z dawną pieśnią, dawnym znakiem,
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła!
(Przy ostatnich słowach wysuwają się
za pomnika i grupują wokół niego
biało ubrane dziewczęta, w długich szta-
tach powłóczyстых, z włosami rozpu-
szczonemi, w wiankach, lub w długich

welonach, zarzuconych na głowy: pierw-
sza staje wyżej przy pomniku, inne gru-
pują się u stóp pomnika. Gdy Żołnierze
skończywszy mówić usuwają się w mrok
i stają z boku pomnika, Białe mówią
śpiewnym, melodyjnym głosem.)

BIAŁE:

Hej, Sławo! ty, Sławo! buńczukiem
szumiąca,
po stepach w kwiat strojnych od
wieków błądząca,
skrzydłami orleми ścigamy cię w locie,
o Sławo, tak cudna w słonecznej
pożłocie...

ŻOŁNIERZE (mówią bezładnie): To
Rokitna! — Walka pod Rokitną! —
Szarża Wąsowicza. Rokitna... Rokit-
na...

BIAŁE:

PIERWSZA: Stało się.

DRUGA: Przyszedł rozkaz twardy jak
śmierć sama
i piorunowym błyskiem oślepił im
oczy.

TRZECIA: Jasność jakaś śmiertelna
wkoło ich otoczy,
jakby siwe mundury srebrna kryła
lama.

(za sceną trąbka gra sygnał do ataku)

PIERWSZA: Grają trąbki.

TRZECIA: Na moment cisza wśród
dział ryku.

DRUGA: Wszystkich serca w tym jednym zabiły szwadronie,
a rotmistrz bierze rozkaz przy niemym ukłonie
i wieszcie kawalerję w bojowym już szyku.

PIERWSZA: Kto wie?

RAZEM: Żółkiewskiego glorię pod Cecorą?

DRUGA: Złoty krzyż Warneńczyka?

PIERWSZA: Wiedeńska husarja?

TRZECIA: Grunwaldowych rycerzy okrzyk: Jezus, Marja?

RAZEM: Jakież sztandary szumią im złotem i morą?

CZWARTA: Zatętniły kopyta.

PIĄTA: Przez kołczaste druty
wichrem niosły się konie rozszalałe,
w pianie,
przez potrójne okopy...

(trąbki)

PIERWSZA: Znowu trąbek granie...

RAZEM: Zwycięstwo!

DRUGA: ...lecz padł rotmistrz, kulami pokłuty...

PIĄTA: i ciało tyle zawisło rycerskich,
skrwawionych,
na tych zdobytych szańcach —

TRZECIA: i nowe mogiły
purpurowemi gwiazdy w historii
zaśniły,
rycerzy wdał pędzących i w Sławę
wpatrzonych!...

RAZEM:

Hej, Sławo! ty Sławo! szablami
dzwoniąca,
po Polach tych Dzikich, po stepach
płacząca
Hej, Sławo! gdzie skrzydła te twoje
sokole,
po jakich śpią jarach i w jakim

rozdole...
(odchodzą z temi słowami, beztładnie
i powoli. Światło pada znowu na pomnik. Żołnierze rozpraszają się tak jak
przyszli, wysuwają się różnemi
wyjściami).

ŻOŁNIERZ (zostaje się sam na scenie,
salutuje przed pomnikiem i kieruje
się ku wyjściu. Nagle zatrzymuje się:
słysząc za sceną kroki szybko biegnącego człowieka. Wbiega gwałtownie żołnierz z 1914 r., powinien ro-

bić wrażenie, że biegł zdaleka i zatrzymuje się bez tchu, nie może mówić ze zmęczenia).

ŻOŁNIERZ:

Odetchnij — biegłeś zdyszany —
ważne zgaduję przyczyny...

Cóż powiesz, bracie kochany —
jakie przynosisz nowiny?

Opowiedz — co ci się zdarzy,
iż biegniesz zdala tak skory —
(młody żołnierz osuwa się i przykłęka)

Przecż — żeś ty bracie nie chory —
skąd ci te ognie na twarzy?

Skąd czoło-ć pała i skronie,

i mowę tłumy wzruszenie, —

a w oczach twoich płomienie,

i w piersi ogień snąc płonie!

Chcesz mówić — mówisz coś do mnie —

a szepcesz jakby w pacierzu...

A mówże mi tu przytomnie:

Cóż ci to? — stary żołnierz!

Przebóg! — na rzęsach twych rosa!

ty płaczesz?!... Nie kryj — widziałem!...

a słowo stało się ciałem...

o przenajświętsze niebios!...

Wiem!... nie mów... radość zabije...

...Królowo Polskiej Korony!

Wiem — tyś jest zwiastun natchniony:

Ojczyzna wstała — i żyje!!!

(Obaj żołnierze muszą grać ruchami i mimiką. Przy ostatnich słowach tworzą nieruchomą grupę, ręce wyciągnięte w dziękczynieniu. Światło pada na nich. Po chwili wszystkiemi wejściami wsuwają się dzieci szkolne, chłopcy schylają się kolejno po chorągiewki, leżące u stóp pomnika i łączą się w korowody błędzące po scenie. Żołnierze stoją pod pomnikiem. Dziewczynki wchodzić równocześnie wszystkiemi wejściami, niosąc na wysokich tyczkach zapalone lampjony, lub poprostu świeczki osłonięte szerokim kielichem z kolorowej bibułki. Po całej scenie krążą w tańcu rytmicznym czy korowodzie, o ruchach powolnych, spokojnych. Na scenę padają kolorowe światła, czerwone, żółte, zielone i t. d. Część tańczących zatrzymuje się przy pomniku, tworząc żywy obraz z lampjonami i chorągiewkami. Rytm tańca żywszy, przechodzi w marsz). Obok pomnika staje uczeń ze sztandarem szkolnym, z orłem.)

CHÓR (*przy pomniku śpiewa*).
 Hej, Polacy, w górę czoła,
 oto płonie sztandar nasz
 i w zwycięstwa glorii woła:
 — Jam jest Biały Orzeł wasz!
 Oto Orzeł nasz jedyny,
 pióra mu zbryzgała krew,
 lecz słyszymy, Orle Biały,
 Twój do walki gromki zew.
 Bohaterskich bojów wszakże
 Tyś symbolem, Orle nasz!
 Ty nas wzywasz, by granicę
 strzegła wierna, czujna straż.
 Skrzydła Twoje ogarnęły
 ziemię polską — polski lud.
 Tyś nam jaśniał w naszych bojach,
 Tyś nam świecił — jako cud.
 Hej, Polacy, w górę czoła,
 oto płonie sztandar nasz
 i w zwycięstwa glorii woła:
 — Jam jest Biały Orzeł wasz!

Lecz nietylko w boje wzywa
 i zwycięstwa głosi czar:
 ziemi naszej jest potrzebny
 serc płomiennych stały żar.
 — Miłuj kraj swój nie słowami!
 woła Biały Orzeł nasz.
 — Obowiązki pełń wytrwale
 i nad sercem trzymaj straż!
 (*W czasie śpiewu światła kolorowe
 chwilami gasną, przy ostatniej zwrotce
 robi się ciemno na scenie, śpiew cichnie.
 Gdy po chwili rozwidnia się, scena już
 jest pusta, pomnik zasłonięty płótnem,
 Józik budzi się i podnosi głowę. Mu-
 zyka za sceną milknie*).
 JÓZIK: Tak mi jest dziwnie, jakbym
 przeżył ten czas walki i siedł razem
 z nimi drogą do wolności.
 (*Salutuje przed pomnikiem i wychodzi.*
Muzyka gra cicho: O, mój rozmarny...
Kurtyna.).

B. St. Kossuthówna



— Mamo, ale on nie umrze?
 Mama wybuchnęła płaczem i zaczęła wołać z rozpaczą:

— Co ci do głowy przychodzi?
 Skąd znowu, przecież on nie jest taki chory! Nie, nie, drugi raz nie umrze!

— Jakto, co mama mówi: drugi raz nie umrze?

— Przecież wiesz, że był bardzo chory, umierający, tak, umierający, ale go doktor Kazio odratował.

— Więc nie umarł, a mama tak powiedziała, jakby już umarł.

— Ach, dręczysz mnie! Zmęczona jestem, zmartwiona. Tyle już w życiu przeżyliśmy nieszczęść, śmierci.

Stefan podszedł nagle do matki, objął ją ramieniem i przytulił się do niej mocno. Ta niespodziewana pieszczota rozczerła matkę na dobre, położyła głowę na ramieniu chłopca i łkała i zalewała się łzami niepowstrzymanie.

— Ach, synku, ach, synku! — powtarzała tylko.

— Cicho, mamo, cicho, wszystko będzie dobrze, — uspakajał ją Stefan.

— On wyzdrowieje, polubi nas, przestanie tęsknić za Francją.

— Tęsknić za Francją? — zdziwiła się matka.

— Tak, skarżył mi się, że tęskni za Francją.

— No tak, tak, — przyświadczyła żywo, obcierając łzy i jeszcze raz powtórzyła:

— No tak, naturalnie, no tak, — i wyszła z pokoju.

Wreszcie pewnego dnia mama wróciła uśmiechnięta z pokoju Francuza i zawołała:

— No, Stefan, zanieś prędko panu Ami śniadanie, bo on chce cię widzieć.

— Chce mnie widzieć! — wykrzyknął radośnie chłopiec i stanął w ponsach.

— Cóż dziwnego? Byłeś dla niego taki uprzejmy, więc cię polubił.

Czemprędej Stefan zakrzątnął się koło śniadania: przebierał między filiżankami od gości, aby wybrać najlepszą, krajał równiutko bułkę, z masła zrobił misterną różę i naturalnie ozdobił tacę kwiatami.

— Widzę, że z ciebie robi się doskonała gospodyni, — zażartowała matka, podeszła do chłopca i poklepała go po ramieniu.

— Przecież to gość nielada, — tłumaczył Stefan, — i oni tam we Francji żyją podobno wykwintniej, niż my, nawet wśród niezamożnych ludzi.

— Och, z panem Ami, to różnie się działo. Gdybyś wiedział, jak bardzo był nieraz pozbawiony wykwin-tu.

— Ale był do niego przyzwyczajony, więc tembardziej my powinniśmy się starać, aby mu u nas nie zbywało na niczem, wszak prawda?

— Tak, chłopcze, masz słuszość i cieszę się, że sam o tem pomyślałeś.

Gdy Stefan wszedł do bawialki, pan Ami siedział na łóżku, wsparty o poduszki, okularów nie miał na nosie, dzięki czemu wyglądał młodziej i weselej.

— Dzieńdobry panu, cieszę się, że pan jest zdrowszy — bąknął Stefan po francusku.

c. d. n.

Bronisława Włodkówna



Hallo, mili słuchacze!

Ponieważ dziesięciolecie Polskiego Radja przypada w miesiącu kwietniu od dnia 18 do 24 włącznie, dlatego większość audycji w tym czasie nadawanych będzie łączyła się w obchodzonym jubileuszem.

We wtorek, 21 kwietnia od godz. 12 min. 15 do g. 12 m. 30 rozpocznie tydzień radjowy opowiadanie urozmaicone ślicznymi piosenkami, p. t.: „W naszym ogródku”. Wraz z nadejściem wiosny rozpoczynają się prace w ogródkach i o nich usłyszycie w tem opowiadaniu.

We środę, 22 kwietnia od godz. 16.00 do godz. 16 min. 25 zostanie nadana ciekawa audycja p. t.: „Historja o drewnianym żołnierzu”. W tem słuchowisku wystąpią ociemniałe dzieci z Łasek i zaśpiewają też ładne piosenki. Wiecie pewnie, że Łaski, to miejscowość położona blisko Warszawy, gdzie znajduje się zakład dla niewidomych dzieci. Myślę, że słuchać będziecie tej audycji.

We czwartek, 23 kwietnia od godz. 16.00 do g. 16 min. 15 w audycji p. t.: „Wciąż bez wąsów” zabierze głos wesoły Wujaszek radjowy.

W piątek, 24 kwietnia od godz. 12 min. 15 do godz. 12 m. 55 odbędzie się audycja w związku z jubileuszem Polskiego Radja pod tytułem: „Dzieci całej Polski śpiewają”, z udziałem chórów szkolnych ze wszystkich rozgłośni Pol. Radja.

I o godzinie 16 min. 45 p. Benedykt Hertz wygłosi opowiadanie p. t.: „Dawne dzieje”. Dowiedzie się, co mówiły dzieci przed 10-ciu laty, kiedy pan Hertz przemówił do nich przez radjo.

W sobotę, 25 kwietnia będzie obchodzone „Święto lasu”. Z tej okazji o godz. 16 min. 15 zostanie nadane słuchowisko p. t.: „O Jasku, co się z Rokitą założył” pióra p. Marji Kownackiej.

W niedzielę, 26 kwietnia o godz. 16.00 p. Henryk Ładosz podyktuje nowe „łamigłówki”.

I w poniedziałek, 27 kwietnia o godz. 18 min. 30 starsze dzieci usłyszą ciekawą pogadankę p. t.: „Telewizja — nowa zdobycz techniki”.



Szybko przeminał tydzień świąteczny i wszyscy zabraliśmy się do pracy.

Pytacie, czy wiem, że nadchodzi koniec roku szkolnego...

Naturalnie, wiem dobrze.

Nawet w listach z Łodzi i Płocka czytamy:

„Teraz długo nie będziemy pisać listów do „Płomyka”, bo musimy odrabiać różne zaniechania. Mało mamy czasu do wakacji”.

Pracujecie, kochani moi, życzę Wam powodzenia w nauce, a po wakacjach spodziewam się od Was wielu ciekawych nowin.

Uczennice i uczniowie klas siódmych z Częstochowy, Bydgoszczy i Kunowa bardzo żałują, iż w tym roku muszą rozstać się ze swymi ukochanymi szkołami. Radzę klasom siódmym, aby za zgodą pp. kierowników zakładały Koła Byłych Wychowanków. Mogą też należeć do nich Wasi koledzy, którzy ukończyli szkołę w latach ubiegłych. Wtedy w umówione dni tygodnia mielibyście wspólne zbiórki, a także możliwość prowadzenia różnych organizacji i ciekawych prac.

Jurkowi Łabędzkiemu z Brześcia odpowiadam na pytanie: Jest książeczka, w której znajduje się spis szkół zawodo-

wych wraz z adresami i potrzebnymi wskazówkami. Tytuł książeczki: „Spis szkół zawodowych Rzeczypospolitej Polskiej”. Nabyć ją można w Naszej Księgarni w Warszawie, ul. Świętokrzyska Nr. 18. Cena 1 złoty.

Zamieszczam też prośbę dzieci z Polesia do czytelników „Płomyka”. Uczniowie 2-klasowej szkoły powsz. w Małych Orlach, pocz. Bereźne nad Horyniem (Polesie), proszą kolegów innych szkół o łaskawe nadsyłanie starych podręczników i „Płomyków”. Jednocześnie nadmieniają, że chętnie będą dawać odpowiedzi na otrzymane listy.

Ze szkołami w Gdyni chętnie nawiążą korespondencję:

Klasa VII szkoły powsz. w Głowaczowie, pocz. Grabiny, woj. krakowskie.

Klasa VI-a szkoły powsz. w Beresteczku, pow. Horochów na Wołyniu.

Klasa VI-b szkoły powsz. Nr. 23 w Łodzi, ul. Gdańska Nr. 29.

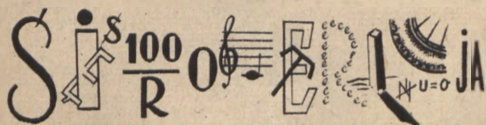
Klasa VI-b szkoły powsz. Nr. 6 im. Adama Mickiewicza w Pabjanicach.

Klasa IV-b szkoły powsz. w Wisznicach, woj. lubelskie.

Z rówieśnikami na Wileńszczyźnie pragną wymieniać listy uczennice i uczniowie klasy VI szkoły powsz. Nr. 3 w Brzezince, pow. katowicki.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZAGADKA 1

Zielone, jak łąka,
a nie łąka.
Białe, jak mąka,
a nie mąka.
Ma ogonek, jak mysz,
a nie mysz!

ZAGADKA 2

W lesie ścięta,
w ogniu zgięta
raz jest ręką,
raz jest nogą.

ZAGADKA 3

Miała wdowa dwoje dzieci,
córnica czarna — synek świeci.

ZAGADKA 4

Kiedy maszynista jedzie pociągiem
bez głowy i bez rąk?

ZAGADKA 5

Jedna spółgłoska na początku,
druga spółgłoska na końcu,
a w środku napisane,
że wiecie o tym miesiącu.

ZAGADKA 6

W nocy stoją puste,
w dzień chude, lub tłuste.

SZARADA 1

Pierwsze — trzecie na morzu powstają.
drugie — pierwsze, coś, na czym siadają.
całość ma literek sześć,
można śpiewać, można jeść.

SZARADA 2

Pierwszą — weź od Anny,
druga — zaimek w liczbie mnogiej,
trzecia — przyimek.
całą na wieś
zabierz i ponad domem zawieś.

ŁAMIGŁÓWKA 1

Jaki wyraz ułożyć można z następujących liter: a, c, j, k, o, n, s, t, u, y.

ŁAMIGŁÓWKA 2

Jak napisać: „trzymaj stołek”, aby użyć do tego nie 13, a tylko 6 liter?

ROZWIĄZANIE Z N-RU 30/31.

Rebus 1: Wielkanoc na wiosnę,
2: na górze pod lasem kwitną sasanki.
Zagadka 1 — pisanki, 2 — wiosna, 3 — baranek wielkanocny. Szarada — słońce.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:
miesięcznie zł. 1.10
półrocznie „ 5.—
rocznie „ 10.—

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)
miesięcznie zł. —.84
półrocznie „ 4.—
rocznie „ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji — 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK
Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego: — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

